

Krzemiński Jan

– Może zacznę od pierwszych dni wojny, kiedy widząc całe to napięcie, manifestacje w Gdyni, postanowiłem zgłosić się ochotniczo do wojska. Na ulicy Starowiejskiej był punkt zborny ochotników. Tam zgłosiłem się i zostałem przydzielony do...

– W Gdyni?

– Tak w Gdyni, do 2 baonu pułku morskiego (?). Początkowo kopaliśmy umocnienia na obrzeżu Gdyni i widzieliśmy, jak 1 września sztukasy bombardują port gdyński i port Marynarki Wojennej. Pewien major, którego nazwiska już nie pamiętam, widząc nadlatujące samoloty powiedział, że to Anglicy przychodzą nam na pomoc. Kiedy zaczęły bombardować, zbladł i powiedział, że to nie Anglicy, ale nieprzyjaciel. Następnie brałem udział w obronie Kępy Oksywskiej. Kiedy Niemcy zaczęli okrążać nasze wojska, my otrzymaliśmy rozkaz wycofania się na Kępę. Wcześniej jeszcze, 14 września, skoczyłem do domu, bo przechodziliśmy ulicą Morską i pożegnałem rodziców. 16 września dostałem się do niewoli. Niemcy zebrali nas, około 5 tysięcy jeńców, mniej więcej wtedy, kiedy pułkownik Dąbek zdecydował poddać się Niemcom, a sam popełnił samobójstwo. Ja byłem tam w pobliżu, osobiście tego nie widziałem, tylko słyszałem, że pułkownik Dąbek popełnił samobójstwo.

Niemcy na początku mówili nam, że zostaniemy zwolnieni z niewoli, co było nieprawdą. Pierwszą noc w niewoli spałem w kościele w Rumii, drugą – w Gosiczyźnie (?) w fabryce mebli. Trzeciej nocy szliśmy do Bożego Pola. Tam załadowano nas do bydłowych wagonów i przez trzy dni wożono po Niemczech. Obecnie jest to teren Polski. Wreszcie wylądowaliśmy w Starogardzie Pomorskim. Tam jeszcze w tym czasie nie było obozu, umieszczono nas w powojkowych garażach na niesamowicie brudnej ściółce. Kawaleria niemiecka widocznie tam kwaterowała i na tym gnoju położono nas, jeńców. Tymczasem Niemcy pobudowali ogromny obóz jeniecki pod namiotami na obrzeżach Starogardu. Trudno było tam wytrzymać. Okazało się bowiem, że teren, na którym postawiono obóz, to było kartoflisko. Głód więc był niesamowity. Karmiono nas zupą z liści kapusty i spleśniałym chlebem. Ten pobyt w obozie był bardzo trudny dla nas, więc większość młodych zdecydowała się na to, aby pójść pracować na roli w charakterze robotników. I nas dwudziestu siedmiu czy dwudziestu ośmiu przetransportowano do majątku – polskiej nazwy nie znam, ale było to w rejonie Gryfina. W okolicach Bożego Narodzenia 1939 roku wróciliśmy do obozu w Starogardzie.

Następnie przetransportowano nas z tego obozu do Großborn, obecnie Borne Sulinowo. Z tego obozu uciekłem dzięki pomocy wuja. Obóz był przedzielony na dwie części. Jedną część stanowił obóz dla internowanych, drugą – obóz jeniecki. Ja miałem w tym okresie zapalenie ucha, więc dostałem się na izbę chorych, która oficjalnie nie miała tego miana. Nadeszła wiosna 1940 roku. Najmłodszych odseparowano do specjalnych baraków, gdzie nas, „podludzi” w mniemaniu Niemców, chciano nauczyć hitlerowskich porządków. Działo się to pod nadzorem esesmanów. Tu pragnę nadmienić, że w okresie zimy, czy przedwiośnia, jeszcze lód był, ja gołymi rękami musiałem czyścić rynsztok. Gdy wachman, który stał w przejściu między jedną a drugą częścią obozu, uderzył mnie z całej siły, straciłem przytomność. Kiedy przyszedłem do siebie w izbie chorych, na twarzy miałem wycięte krawki. Okazało się, że ten Niemiec miał rękawicę naszytą guzikami. I po tym zdarzeniu zdecydowałem się wtajemniczyć wuja w swoje zamiary. Mój wuj był w obozie tłumaczem, bo jeszcze na długo przed pierwszą wojną światową studiował w Niemczech i znał język niemiecki. Był inżynierem hutnikiem. Gdy więc zwierzyłem mu się ze swoich zamiarów, mówiąc, że albo zginę na drutach, albo przejdę, on mi odradzał. Widząc jednak moje zdecydowanie, postanowił pomóc mi w ucieczce. Przekupił wachmanów, w szopie na jakiejś farmie ukrył cywilne ubranie dla mnie i Alojza Bułkowskiego (?), mego towarzysza ucieczki. A potem w pierwszy lepszy pociąg towarowy i w nieznaną.

– A czy może Pan podać imię i nazwisko wuja?

– Feliks Krzemiński. A potem była tułaczka przez całe Niemcy i Francję. Kiedy Francja została podzielona, trudno było przedostać się przez granicę do Hiszpanii. Doszedłem do Kerdaj (?) Blanche, to jest już nad granicą hiszpańską, ale już sam, już nie w towarzystwie Alojza Bułkowskiego. I tutaj, jak by to określić, bez pomocy osób drugich czy trzecich udało mi się przejść granicę francusko-hiszpańską. W Hiszpanii...

– Kiedy to było? Rozumiem, że już po klęsce Francuzów.

– To był 1940 lub 1941 rok. W 1941 roku złapano mnie w Cambia Subril pod Bibao i przewieziono do obozu dla internowanych w Mirandzie pod Madrytem. Traktowano nas tam podobnie jak w obozach na terenie Niemiec. I tu, i tam stało się na apelach godzinami. Rano trzeba było chwalić gen. Franco. Jeśli ktoś nie chciał chwalić i ręki w geście pozdrowienia nie wyciągnął, Hiszpan bił takiego bykowcem, tak że nieraz się oberwało. W początkach 1943 roku z takich czy innych przyczyn, przypuszczalnie

z powodu stanowiska Stanów Zjednoczonych, albo innych sprzymierzonych, w stosunku do Hiszpanii zwolniono nas z obozu i przetransportowano dużym statkiem z Bilbao do Anglii. W 1943 roku, bodajże w sierpniu, dołączyłem do dywizji. Stało się to oczywiście po wstępnych przesłuchaniach, prowadzonych pod Londynem. Wiadomo było przecież, że pewien element różnymi drogami dążył do Anglii.

– A kto prowadził przesłuchania, Anglicy czy Polacy?

– Nie. Pytali Polacy, polski wywiad. Polscy oficerowie. Każdego dnia brali nas na dwugodzinne lub trzygodzinne przesłuchania. Pod Londynem – pamiętam – był ogromny kompleks boisk. My kwaterowaliśmy w niższych pomieszczeniach, natomiast oficerowie gdzieś na wysokości trybun boiskowych. I tak zdecydowałem się w 1943 roku znowu założyć mundur. Przeszedłem całą inwazję, od Francji prawie pod Wilhelmshaven. Byłem jednym z pierwszych żołnierzy, którzy otrzymali przepustkę na urlop. Tak więc przyjechałem tu do Bredy na pierwszy urlop do mojej narzeczonej 3 maja 1945 roku. Tutaj także przeżywałem radość z powodu zakończenia wojny. Potem wróciłem do dywizji, która już rozpoczęła okupację Niemiec. Obsadziliśmy rejon miejscowości Lipingen, dowództwo baonu zaś mieściło się w Dewen. Koledzy mieli już w tym czasie swoje kwatery, natomiast ja dopiero musiałem szukać jej sobie. W końcu znalazłem kwaterę na farmie u staruszka Niemca, który początkowo odnosił się niechętnie do nas. Ale kiedy nasze wojsko opuszczało ten teren, to on płakał, mówiąc, że teraz jego los jest niepewny. Różny element krążył po tych terenach i w czasie wojny, i po jej zakończeniu, a obecność wojska, które kwaterowało pod tym samym dachem, dawała mu poczucie bezpieczeństwa.

Koniec wojny, demobilizacja wisi nad nami. Krążą wieści, że dywizja zostanie teraz zlikwidowana, rozwiązana. W związku z tym pisałem jeszcze z Niemiec do ministerstwa spraw zagranicznych Królestwa Holandii w sprawie możliwości osiedlenia się na jej terytorium. Otrzymałem odpowiedź (dowództwo dywizji nie było jeszcze poinformowane o tych możliwościach), że muszę się skontaktować z dowództwem dywizji, a wkrótce będzie demobilizacja i powstaną możliwości osiedlenia się w Holandii. Decyzja więc zapadła. Niedługo będziemy obchodzili 53 lata związku małżeńskiego. 9 listopada był ślub, a gdy przyjechałem tu 12 grudnia, to już byłem zdemobilizowany.

– W którym roku?

– W 1946. Początki nie były tu na terenie Holandii łatwe, mimo że moja żona pracowała wówczas w kantynie dla oficerów w koszarach akademii tu w Bredzie (obecnie koszary te nie istnieją). To długa historia, dlaczego zdecydowałem się tu zostać. Warunkiem było posiadanie na terenie Holandii domu i pracy. Dom miałem u teściów, ale z pracą było gorzej. Pewien pracodawca, którego firma istnieje do dzisiaj, zdecydował się zatrudnić mnie na określonych warunkach. Kiedy miałem przystąpić do pracy, okazało się jednak, że warunki te były zupełnie zmienione, a płaca obniżona do tego stopnia, że pracy tej nie podjąłem. Po miesiącu otrzymałem wezwanie z urzędu pośrednictwa pracy, abym się tam zgłosił. Kiedy wszedłem do pokoju właściwego urzędnika, ten „wsiadł na mnie z ogromną buzią”, że Holandia udzieliła nam tak zwanego azylu po to, abyśmy Holandię budowali, bo Holandia potrzebuje rąk do pracy. A ja mu odpowiedziałem (znałem już wtedy język holenderski), że skoro policja mnie nie ściga, to znaczy, że mam środki do życia. Ale wkrótce doszliśmy do porozumienia. Zdecydowałem się pójść do fabryki i tam pracować. Była to odlewnia, emaliownia, montaż, obrabianie – wszystko związane z żeliwem. Pracę rozpocząłem 6 stycznia 1947 roku i przepracowałem 32 lata. W pierwszym okresie pracowałem fizycznie przy pakowaniu pieców do ogrzewania mieszkań; piece te ważyły w tym okresie 100–120 kg. Była to nielekka praca przy taśmie. Przez ostatnie lata byłem już na rencie. Lekarz przeprowadzający badania kontrolne powiedział, że ja, a właściwie żołnierze polscy, tyle zrobiliśmy dla Holandii, że należy się nam odpoczynek. Tak więc poszedłem na emeryturę z honorami.

– A czy cały czas pracował Pan w tej samej firmie?

– W tej samej firmie od początku do końca. Nazywała się „Edna”.

– Jeżeli można jeszcze wrócić do Pańskich przeżyć wojennych. Czy trafił Pan w Wielkiej Brytanii od razu do wojska, a w wojsku do dywizji pancерnej?

– Do dywizji pancерnej, do 8 baonu strzelców.

– A jakie zajmował Pan stanowisko?

– Zacząłem od szeregowego, a skończyłem na sierżancie.

– A jeśli chodzi o stanowisko? Rozumiem, że jako szeregowy był Pan tylko żołnierzem, a jako sierżant?

– Jako plutonowy byłem zastępcą dowódcy plutonu tu w Bredzie. W Niemczech, w czasie okupacji, po ukończeniu szkoły, że tak powiem, byłem gospodarzem kantyny. Starłem się o artykuły i uzgadniałem ceny z dostawcami.

– I cały czas był Pan w 8 baonie?

– Cały czas 8 baon.

– Może wróćmy jeszcze do wojennych przeżyć. Czy może Pan opowiedzieć jakieś wydarzenie, które szczególnie utkwiło w Pańskiej pamięci?

– Sporo, sporo. Tu w rejonie Bredy dowództwo kompanii, znając moje umiejętności, obarczyło mnie szukaniem kwater. Jeżeli trzeba było z dnia na dzień zorganizować postój, to dowódca kompanii, czy to był Lesisz czy Mochaciewicz (?) – myśmy kilku dowódców zmieniali – mówi: „Szukaj Janek kwatery, bo my musimy w tym rejonie”. Więc ja musiałem starać się o zakwaterowanie żołnierzy. Jeśli chodzi o sam rejon Bredy, naszym zadaniem było zabezpieczenie go od północy (gdy Breda została już oswobodzona, na północy, za kanałem wojska niemieckie się okopały, a patrole niemieckie docierały na przedmieścia Bredy). Kiedy zwróciłem się do pewnego gospodarza holenderskiego, żeby udzielił nam gościny na kilka dni, to on powiedział, że jedynie może zakwaterować nas w chlewie. No cóż, polski żołnierz – jeżeli jest tylko chlew – zadowolony się i chlewem. Ale poprosiłem go, aby otworzył wszystkie pomieszczenia. Okazało się, że całe piętro było wolne. Więc ja, korzystając z moich praw, powiedziałem do niego: „Polski żołnierz w takim wypadku nie będzie spał w chlewie, ale w domu”. Jeszcze przyniósł nam tam słomy. Gdy mijam te zabudowania, zawsze przychodzi mi na myśl, że on w pewnym sensie nie był skłonny przyjąć grupy żołnierzy.

Kiedy już te tereny zostały oswobodzone aż do Moerdijku, naszym zadaniem było zdobycie torów, określanych kryptonimem „Katowice”, znajdujących się na przedpolach tej miejscowości. Nasz pluton, znając warunki naturalne, kanały, rowy itd., kierował się w stronę Karnijk (?). Na tej farmie otrzymaliśmy ogień z karabinu maszynowego. Mieli nas, nasz pluton, jak na dłoni; strzelali jak do kaczek. Trzeba było więc ratować życie, wracając wplaw. I tam straciłem 6 żołnierzy. Ilekroć przejeżdżam w tym miejscu, zawsze przypomina mi się: tu zginął Kaplica, tam zginął Jagielski... Takie są ciekawe–nieciekawe zdarzenia z czasów wojny.

Większość kolegów nawet nie myślała, że przyjdzie nam tu w Holandii spędzić długie lata a nawet starość. Myśleli: dwa, trzy lata, unormują się stosunki w kraju, wrócimy, zabierzemy rodziny, które się pozakładało. Potem już te korzenie zaczęły głęboko wrastać w tę ziemię holenderską. Mam na myśli okres, kiedy dzieci zaczęły uczęszczać do szkoły podstawowej, później do średniej i na uniwersytet. Ponadto wiedzieliśmy, jak traktowano kolegów w kraju, więc zastanawialiśmy się, po co wracać. W ogóle nie było sensu. W dodatku w tym okresie w kraju warunki bytowe

dla przeciętnego człowieka były złe. Nam się nie przelewało, ale jako tako się żyło. Stać nas było na krótkie wyjazdy do kraju, w celu odwiedzenia najbliższych. Stać nas było na opłacenie kosztów przejazdu i pobytu rodzin, między innymi trzykrotnie ojca, trzykrotnie siostry, jednego brata, drugiego brata z rodziną. Później nie tylko rodzina, ale i rodacy, którzy przypadkowo znaleźli się na terenie Bredy, byli tu w tym domu gośćmi.

Wychowaliśmy trójkę dzieci, które dziś mają wykształcenie uniwersyteckie. Najstarszy syn jest „trzykrotnym” inżynierem, młodszy też jest inżynierem, a córka również skończyła studia na uniwersytecie w Amsterdamie. Teraz studia rozpoczyna już następne pokolenie: wnuczka studiuje prawo na uniwersytecie w Amsterdamie, a wnuk jest studentem międzynarodowego uniwersytetu w Honolulu na Hawajach.

– A jak było u Pana z językiem holenderskim?

– Może rozpocznę od tego, jak poznałem żonę. Kiedyś po powrocie z akcji wybrałem się do Bredy, żeby zobaczyć, jak miasto wygląda. Po drodze spotkałem kolegę, Henryka Kurka, który szedł ze swoją sympatią, Holenderką, na dancing. Dołączyłem do nich. Wtedy przypadkowa rozmowa na ulicy – do której się zresztą wtrąciłem – między tą sympatią mego kolegi a inną miejscową dziewczyną spowodowała, że wszyscy razem poszliśmy na tańce i od tego zaczęło się. Zdarzenie to miało miejsce tydzień po oswojeniu Bredy, a 9 listopada 1946 roku z tą przypadkowo na ulicy poznaną rok temu dziewczyną wziąłem ślub.

– I tak nauczył się Pan holenderskiego? Żona pewnie pomogła?

– Nie. Samo przychodziło. Ja możliwości chwyciłem oburącz. Rodziły się dzieci, więc z mojej strony był warunek, że będę się wszystkiego chętnie uczył, ale żeby mnie to nic nie kosztowało. Dotyczyło to również języka holenderskiego. Ja nie mogłem pozwolić sobie na specjalne wydatki, bo płace w tym okresie były skromne.

– A jak było z przyjazdami do Polski? Kiedy zaczął Pan odwiedzać kraj?

– Do 1957 roku nawet nikt nie marzył, że będą możliwości odwiedzenia najbliższych. Potem powstała inicjatywa wyjazdu do Polski, miał być nawet autokar wypożyczony przez jedno z tutejszych przedsiębiorstw. Projekt ten upadł, przeważała obawa przed komunistami, ale mimo tego ja pojechałem pierwszy raz do Polski już w 1958 roku.

Byłem zaangażowany w pracę tutejszej Polonii. Jestem ostatnim żyjącym członkiem pocztu sztandarowego (sztandar ufundowała miejscowa Polonia w 1952 roku). Pozostali: Badura i Wojnarowicz już nie żyją. Jestem też członkiem chóru kościelnego. Powstał on w 1948 roku jako chór męski z inicjatywy dyrygenta Galasa.

Chór liczył początkowo około stu osób. Nasze próby odbywały się przy kościele kapucynów. Później – gdy był już mniej liczny – w klubie przy Torenstraat, a następnie przy Bismarckstraat. Obecnie chór nasz zasiliły Holenderki, w większości wdowy po Polakach, ponieważ brak jest mężczyzn. Jest nas 17 osób, w tym kolega Nowiński i ja, od początku. Dopóki pozwalało zdrowie, byłem przez wiele lat skarbnikiem tutejszego koła PTK. Proponowano mi prezesurę PTK, ale odmówiłem. Współpracuję jedynie – bez zobowiązań – z Muzeum gen. Maczka.